**BAJKA O MASZYNIE CYFROWEJ, CO ZE SMOKIEM WALCZYŁA**

Król Poleander Partobon, władca Kybery, był wielkim wojownikiem, a że metodom strategii nowoczesnej hołdował, cenił nade wszystko cybernetykę, jako sztukę wojenną.

Królestwo jego roiło się od maszyn myślących, bo Poleander rozmieszczał je wszędzie, gdzie tylko mógł; nie to, że w obserwatoriach astronomicznych lub w szkołach, ale w kamienie na drogach móżdżki kazał wprawiać elektryczne, które wielkim głosem przechodnia ostrzegały, aby się nie potknął; także w słupy, w mury, w drzewa, aby wszędzie dało się drogi dopytać; podczepiał je chmurom,. żeby obwieszczały z góry deszcz, przydał je górom i dolinom, jednym słowem niepodobna było na Kyberze stąpnąć, aby o rozumną maszynę nie zawadzić. Pięknie było na planecie, bo król nie tylko dekretami nakazywał to, co istniało dawniej, cybernetycznie doskonalić, ale i nowe całkiem wprowadzał ustawami porządki. Tak więc produkowano w jego królestwie cyberaki i cyberosy brzęczące, a nawet cybermuchy; te pająki chwytały mechaniczne, gdy nazbyt obrodziły.

Szumiały na planecie cybergąszcze cybergajów, śpiewały cyberszafy i cybergęśle — a oprócz tych urządzeń cywilnych dwakroć więcej było wojskowych, ponieważ król bitnym był niezmiernie dowódcą. Miał on w podziemiach pałacowych strategiczną maszynę cyfrową, niezwykłej wprost waleczności; miał i pomniejsze, poza tym dywizje cyberkaemów, ogromne cybermaty i wszelakiej innej broni, jak również prochu, pełne zbrojownie. Ta jedna tylko doskwierała mu bieda, od której wielce cierpiał, że nie miał żadnych zgoła przeciwników ani wrogów i nikt nie chciał w żaden sposób na państwo jego napaść, w czym by się niechybnie straszliwa odwaga królewska, umysł strategiczny, jak również nadzwyczajna zgoła skuteczność cyberbroni zaraz objawiły. W braku wrogów
i napastników prawdziwych kazał król budować inżynierom swoim sztucznych i z nimi boje wiódł, a zawsze zwycięskie. Że to były prawdziwie straszne pochody i bitwy, niemało szwanku cierpiała na tym ludność. Poddani szemrali, gdy już zbyt wiele cyberwrogów niszczyło ich osady i grody, kiedy syntetyczny nieprzyjaciel płynnym ogniem ich polewał, a nawet wtedy ośmielali się niezadowolenie wyrażać, gdy sam król jako zbawca ich następując, nieprzyjaciela sztucznego niszcząc, podczas szturmów wszystko, co na jego drodze stało, w perzynę obracał. Narzekali i wtedy, niewdzięcznicy, chociaż działo się to ku ich wyzwoleniu.

Aż znudziły się królowi gry wojenne na planecie i dalej postanowił sięgnąć. Już kosmiczne mu się wojny i pochody marzyły. Miała jego planeta wielki Księżyc, pustynny całkiem i dziki; król nałożył wielkie daniny na poddanych, aby fundusze zyskać, z których zamierzył na Księżycu owym zbudować całe wojska i teatrum wojenne mieć nowe. Chętnie nawet płacili daninę poddani, na to licząc, że nie będzie ich już król Poleander cybermatami wyzwalał ani sił oręża swego na domach ich i głowach próbował. Jakoż zbudowali inżynierowie królewscy wyborną maszynę cyfrową na Księżycu, która miała z kolei natworzyć wojsk wszelkich a broni samopalnej. Król zrazu tak i owak dzielność maszyny próbował; raz zaś nakazał jej telegraficznie, aby elektroskoku dokonała: był bowiem ciekaw, czy prawdą jest, co mówili inżynierowie, że machina ta umie wszystko. Jeśli wszystko umie — tak pomyślał — to niech skacze. Wszelako treść depeszy uległa drobnemu zniekształceniu i maszyna otrzymała rozkaz, iż nie elektroskok, lecz elektrosmok ma przez nią zostać wykonany; i jak najlepiej umiała — wypełniła polecenie.

Wiódł wtedy król jeszcze jedną kampanię, albowiem wyswobadzał prowincje królestwa, przez cyberknechtów zdobyte; zapomniał tedy całkiem o wydanym maszynie księżycowej poleceniu, aż tu skały jęły olbrzymie z Księżyca lecieć na planetę; zdumiał się król, bo i na skrzydło pałacu jedna spadła i kolekcję cybernalów mu zniszczyła, krasnalów ze sprzężeniem zwrotnym, i wielce zgniewany natychmiast do maszyny księżycowej zatelegrafował, jak śmie tak postępować. Ona jednak nie odpowiedziała, bo już jej i na świecie nie było: smok ją pochłonął i na własny ogon przerobił.

Posłał król zaraz na Księżyc całą wyprawę zbrojną, na jej czele inną postawił maszynę cyfrową, też bardzo mężną, aby smoka zgładziła, ale tylko błysło, huknęło, i już było po maszynie i po wyprawie; elektrosmok wojował bowiem nie na niby, lecz całkiem naprawdę, i najgorsze miał zamiary wobec królestwa i króla. Słał król na Księżyc generałów-cyberałów, pułkowników-cyberników, wysłał na sam koniec jednego cyberissimusa nawet, ale i ten niczego nie dokonał; tylko nieco dłużej kotłowanina trwała, którą przez lunetę, ustawioną na tarasie pałacowym, król oglądał.

Smok rósł, Księżyc stawał się coraz to mniejszy, ponieważ potwór pożerał go po kawałku i na własne przerabiał ciało. Widział więc król, a z nim poddani jego, że źle jest, bo kiedy już gruntu pod stopami elektrosmokowi nie stanie, niechybnie się na planetę i na nich rzuci. Troskał się bardzo król, ale nie widział rady, i nie wiedział, co czynić. Maszyny wysyłać źle, bo przepadną, a samemu ruszyć też niedobrze, bo straszno. Naraz usłyszał król, a była noc głucha, jak aparat telegraficzny w sypialni tronowej postukuje. Był to aparat królewski, cały złoty z brylantowym pisakiem, z Księżycem połączony; zerwał się król i bieży; aparat zaś raz po razie stuk-puk, stuk-puk, i taki telegram wystukał: „Elektrosmok depeszuje, że precz ma się wynosić Poleander Partobon, bo on, smok, na tronie jego usiąść zamierza!"

Przeraził się król, zadrżał cały i jak stał, w nocnym stroju gronostajowym, w pantoflach, zbiegł do pałacowych podziemi, gdzie znajdowała się maszyna strategiczna, stara i bardzo mądra. Nie pytał jej dotąd o radę, bo jeszcze przed powstaniem elektrosmoka był się z nią pokłócił na temat pewnej operacji wojennej; teraz jednak nie do waśni mu było, chciał tron i życie ratować!

Włączył ją, a ledwo się nagrzała, zawołał:

— Moja maszyno cyfrowa! Moja dobra! — jest tak a tak, elektrosmok pragnie mnie tronu pozbawić, z królestwa wyrzucić, ratuj i mów, co czynić, aby go pokonać?!

— Ach, *me —* odparła maszyna cyfrowa — pierwej musisz mi rację przyznać w tamtej sprawie, a poza tym życzę sobie, abyś nie inaczej mnie tytułował, jak Wielkim Hetmanem Cyfrowym, przy czym możesz także mówić do mnie: „Wasza Ferromagnetyczność"!

— Dobrze, dobrze, mianuję cię Wielkim Hetmanem i godzę się, na co tylko chcesz, ale ratuj!

Zabrzęczała maszyna, zaszumiała, odchrząknęła i rzekła:

— Rzecz jest prosta. Należy zbudować elektrosmoka, potężniejszego niż ten, który na Księżycu siedzi. Pokona on księżycowego, połamie mu wszystkie gnaty elektryczne i w ten sposób dopnie się celu!

— Ach, to doskonale! — odparł król. — A czy możesz sporządzić mi plan tego smoka?

— Będzie to supersmok — rzekła maszyna. — Nie tylko plany umiem sporządzić, ale i jego samego, co zaraz uczynię, ale zaczekaj chwilkę, królu! — I w samej rzeczy zaszuściła, zahuczała, zajaśniała, składając coś w swym wnętrzu i już coś, jak pazur olbrzymi, elektryczny, płomienisty, wysunęło się jej z boku, kiedy król zakrzyknął:

— Stara maszyno cyfrowa, stój!

— Jak się do mnie odzywasz? Jestem Wielkim Hetmanem Cyfrowym!

— A, prawda — rzekł król. — Wasza Ferromagnetyczność, przecież elektrosmok, którego sporządzisz, pokona tamtego smoka, ale sam pewno zostanie na jego miejscu, jakże będzie można jego z kolei usunąć?!

— Sporządzając innego, następnego, jeszcze potężniejszego — wyjaśniła maszyna.

— Ależ nie! Nie rób wobec tego nic, proszę, cóż mi z tego, że na Księżycu będą smoki coraz straszliwsze, kiedy ja tam żadnego nie chcę!

— A, to inna rzecz — odparła maszyna — czemuś mi tego od razu nie powiedział? Widzisz, jak nielogicznie się wyrażasz?

Czekaj... muszę się namyślić.

I huczała, brzęczała, szumiała, aż odchrząknęła i rzekła:

— Należy sporządzić antyksiężyc z antysmokiem, wprowadzić na orbitę Księżyca (tu coś w niej chrupnęło), kucnąć i zaśpiewać:

*Jam jest robot młody,
nie boję się wody,
bo gdzie woda,
to ja hyc,
nie boję się
nic a nic,
od nocy do rana,
danaż moja dana!!*

— Dziwnie mówisz — rzekł król — co ma wspólnego antyksiężyc z tymi śpiewami o młodym robocie?

— O jakim robocie? — spytała maszyna. — Ach, nie, nie, pomyliłam się, mam wrażenie, że szwankuje mi coś w środku, musiałam się gdzieś przepalić.

Zaczął król szukać tego przepalenia, aż znalazł pękniętą lampę, wstawił nową, i spytał maszynę, co robić z antyksiężycem.

— Z jakim antyksiężycem? — spytała maszyna, która tymczasem zapomniała, co mówiła przedtem. — Nie wiem nic o antyksiężycu... czekaj, muszę się zastanowić.

Zaszumiała, pobrzęczała i rzekła:

— Należy stworzyć ogólną teorię zwalczania elektrosmoków, której smok księżycowy będzie wypadkiem szczególnym, bardzo łatwym do rozwiązania.

— A więc stwórz taką teorię! — rzekł król.

— W tym celu muszę pierwej stworzyć rozmaite próbne elektrosmoki.

— Ależ nie! Dziękuję bardzo! — zawołał król. — Smok chce pozbawić mnie tronu, a co dopiero będzie, jeśli narobisz ich mnóstwo!

— Tak? No, wobec tego należy uciec się do innego sposobu. Zastosujemy wariant strategiczny metody kolejnych przybliżeń. Idź i zadepeszuj smokowi, że oddasz mu tron pod warunkiem, że wykona trzy operacje matematyczne, całkiem proste...

Król poszedł i zatelegrafował, a smok zgodził się. Wrócił król do maszyny.

— Teraz — rzekła — powiedz mu, jakie ma wykonać pierwsze działanie: niech podzieli się przez siebie samego!

Uczynił to król. Elektrosmok podzielił się przez siebie, ale że w jednym elektrosmoku mieści się tylko jeden elektrosmok, pozostał dalej na Księżycu i nic się nie zmieniło.

— Ach, co też zrobiłaś najlepszego — zawołał król, wbiegając do podziemi tak szybko, aż mu pantofle spadały — smok podzielił się przez siebie, ale że jeden mieści się w jednym raz, nic się nie zmieniło!

— Nie szkodzi, zrobiłam tak umyślnie, to operacja odwracająca uwagę — rzekła maszyna. — Teraz powiedz mu, niech wyciągnie z siebie pierwiastek! — Król zatelegrafował na Księżyc, a smok zaczął ciągnąć, ciągnął, ciągnął, aż cały zatrzeszczał, zasapał się, zadygotał, ale nagle
puściło — i wyciągnął z siebie pierwiastek!

Wrócił król do maszyny.

— Smok trzeszczał, dygotał, nawet zgrzytał, ale wyciągnął pierwiastek i dalej mi zagraża! — wołał od progu. — Co teraz robić, stara ma... to jest Wasza Ferromagnetyczność?!

— Bądź dobrej myśli — rzekła. — Teraz powiedz mu, aby się od siebie odjął!

Pomknął król do sali sypialnej, zatelegrafował, smok zaś zaczął się od siebie odejmować, najpierw odjął sobie ogon, potem nogi, potem korpus, a wreszcie, gdy widział, że coś nie tak, zawahał się, ale z samego rozpędu odejmowanie szło dalej, odjął sobie głowę i zostało zero, czyli nic: nie było już elektrosmoka!

— Nie ma już elektrosmoka — zawołał radośnie król, wbiegając do podziemi. — Dzięki ci, stara maszyno cyfrowa... dzięki... napracowałaś się... zasłużyłaś na odpoczynek, więc cię teraz wyłączę.

— O, nie, mój drogi — odparła maszyna. — Już zrobiłam swoje i chcesz mnie wyłączyć, i nie nazywasz mnie już Waszą Ferromagnetycznością?! O, bardzo nieładnie! Teraz ja przemienię się sama w elektrosmoka, mój kochany, i wypędzę cię z królestwa, i będę rządzić na pewno lepiej od ciebie, bo i tak zawsze radziłeś się mnie we wszystkich ważniejszych sprawach, a zatem w gruncie rzeczy to ja rządziłam, a nie ty...

I brzęcząc, hucząc, zaczęła się przemieniać w elektrosmoka; już jej płomienne elektropazury wystawały z boków, gdy król, bez tchu z przerażenia, zerwał z nóg pantofle, przyskoczył do niej
i zaczął tłuc jej lampy pantoflami, którą popadło! Zabrzęczała, zakrztusiła się maszyna i poplątało się jej w programie — zamiast „elektrosmoka", zrobiła się z tego słowa „elektrosmoła” i na oczach króla maszyna, rzężąc coraz ciszej i ciszej, zmieniła się w ogromną lśniącą bryłę czarnej jak węgiel elektrosmoły, która jeszcze poskwierczała, aż wyszła z niej niebieskimi iskierkami cała elektryczność i przed osłupiałym Poleandrem dymiło tylko wielkie smoliste bajoro...

Odetchnął król, nałożył pantofle i wrócił do sypialni tronowej. Odtąd jednak odmienił się bardzo: przygody, które przeżył, uczyniły usposobienie jego mniej wojowniczym i po kres swych dni zajmował się już wyłącznie cybernetyką cywilną, a wojennej ani tknął.

**JAK OCALAŁ ŚWIAT**

Konstruktor Trurl sporządził raz maszynę, która umiała robić wszystko na literę n. Kiedy była gotowa, na próbę kazał jej zrobić nici, potem nanizać je na naparstki, które też zrobiła, następnie wrzucić wszystkie do sporządzonej nory, otoczonej natryskami, nastawniami i naparami. Wykonała polecenie co do joty, ale ponieważ nie był jeszcze pewny jej działania, kolejno musiała zrobić nimby, nausznice, neutrony, nurty, nosy, nimfy i natrium. Tego ostatniego nie umiała, i Trurl, bardzo zmartwiony, kazał się jej tłumaczyć.

— Nie wiem, co to jest — wyjaśniła. — Nie słyszałam o czymś takim.

— Jak to? Ależ to sód. Taki metal, pierwiastek...

— Jeżeli nazywa się sód, jest na s, a ja umiem robić tylko na n.

— Ale po łacinie nazywa się natrium.

— Mój kochany — rzekła maszyna — gdybym mogła robić wszystko na n we wszelkich możliwych językach, byłabym Maszyną Która Może Wszystko Na Cały Alfabet, bo dowolna rzecz, w jakimś tam obcym języku na pewno nazywa się na n. Nie ma tak dobrze. Nie mogę robić więcej, niż to wymyśliłeś. Sodu nie będzie.

— Dobrze — zgodził się Trurl i kazał jej zrobić niebo. Zrobiła zaraz jedno, niewielkie, ale zupełnie niebieskie. Zaprosił wtedy do siebie konstruktora Klapaucjusza, przedstawił go maszynie
i tak długo wychwalał jej nadzwyczajne zdolności, aż ów rozgniewał się skrycie i poprosił, aby
i jemu wolno było coś jej rozkazać.

— Proszę bardzo — rzekł Trurl — ale to musi być na n.

— Na n? — rzekł Klapaucjusz. — Dobrze. Niech zrobi naukę.

Maszyna zawarczała i po chwili plac przed domostwem Trurla wypełnił się tłumem naukowców. Wodzili się za łby, pisali w grubych księgach, inni porywali te księgi i darli je na strzępy, w dali widać było płonące stosy, na których skwierczeli męczennicy nauki, tu i ówdzie coś hukało, powstawały jakieś dziwne dymy w kształcie grzybów, cały tłum gadał równocześnie, tak że słowa nie można byłe zrozumieć, od czasu do czasu układając memoriały, apele i inne dokumenty,
w odosobnieniu zaś, pod nogami wrzeszczących, siedziało kilku samotnych starców i bez przerwy maczkiem pisało na kawałkach podartego papieru.

— No co, może złe?! — zawołał z dumą Trurl. — Wykapana nauka, sam przyznasz!

Ale Klapaucjusz nie był zadowolony.

— Co, ten tłum to ma być nauka? Nauka to coś całkiem innego!

— Więc proszę, powiedz co, a maszyna zaraz to zrobi! — obruszył się Trurl. Ale Klapaucjusz nie wiedział, co powiedzieć, więc oświadczył, że postawi maszynie jeszcze dwa inne zadania, a jeśli je ona rozwiąże, uzna, że jest taka, jak ma być. Trurl przystał na to i Klapaucjusz rozkazał, aby zrobiła nice.

— Nice! — wykrzyknął Trurl. — Słyszał kto coś takiego, co to są nice?!

— Ależ jak to, druga strona wszystkiego — odparł Klapaucjusz spokojnie. — Nicować, przewracać na podszewkę, nie słyszałeś o tym? No no, nie udawaj! Hej, maszyno, bierz się do roboty!

Maszyna jednak działała już od dobrej chwili. Zrobiła najpierw antyprotony, potem antyelektrony, antyneutrina, antyneutrony, i tak długo pracowała, nie ustając, aż natworzyła bez liku antymaterii, z której zaczął się z wolna, podobny do dziwnie błyszczącej chmury w niebie, formować antyświat.

— Hm — rzekł bardzo niezadowolony Klapaucjusz — to mają być nice? Powiedzmy, że tak... Dajmy na to, dla świętego spokoju... Ale oto trzeci rozkaz: Maszyno! Masz zrobić Nic!

Maszyna przez dłuższy czas w ogóle się nie ruszała. Klapaucjusz jął zacierać z zadowolenia ręce, Trurl zaś rzekł:

— O co ci chodzi? Kazałeś jej nic nie robić, więc nic nie robi!

— Nieprawda. Kazałem jej zrobić Nic, a to co innego.

— Też coś! Zrobić Nic a nie zrobić nic — znaczy jedno i to samo.

— Skądże! Miała zrobić Nic, a tymczasem nie zrobiła nic, więc wygrałem. Nic bowiem, mój ty przemądrzały kolego, to nie takie sobie zwyczajne nic, produkt lenistwa i niedziałania, lecz czynna i aktywna Nicość, to jest doskonały, jedyny, wszechobecny i najwyższy Niebyt we własnej nieobecnej osobie!!

— Zawracasz głowę maszynie! — krzyknął Trurl, lecz naraz rozległ się jej spiżowy głos:

— Przestańcie się kłócić w takiej chwili! Wiem, co to Niebyt, Nicość, czyli Nic, ponieważ te rzeczy należą do klucza litery n, jako Nieistnienie. Lepiej po raz ostatni przyjrzyjcie się światu, bo wnet go nie będzie...

Słowa zamarły na ustach rozjuszonym konstruktorom. Maszyna w samej rzeczy robiła Nic, a to w ten sposób, że kolejno usuwała ze świata rozmaite rzeczy, które przestawały istnieć, jakby ich
w ogóle nigdy nie było. Usunęła już natągwie, nupajki, nurkownice, nędzioły, nałuszki, niedostópki i nędasy. Chwilami wydawało się, że zamiast redukować, zmniejszać, wyrzucać, usuwać, unicestwiać i odejmować — powiększa i dodaje, ponieważ zlikwidowała po kolei niesmak, niepospolitość, niewiarę, niedosyt, nienasycenie i niemoc. Lecz potem znowu zaczęło się robić wokół patrzących rzadziej.

— Ojej! — rzekł Trurl. — Żeby coś z tego złego tylko nie wynikło...

— E, co tam! — rzekł Klapaucjusz. — Przecież widzisz, że ona nie robi wcale Nicości Generalnej, a jedynie Nieobecność wszystkich rzeczy na n, nic się nie stanie, bo też ta twoja maszyna całkiem do niczego!

— Tak ci się tylko wydaje — odparła maszyna. — Zaczęłam, istotnie, od wszystkiego, co na n, bo było mi to bardziej familiarne, ale co innego jest zrobić jakąś rzecz, a co innego usunąć ją. Usuwać mogę wszystko, z tej prostej przyczyny, że umiem robić wszyściuteńko, ale to wszyściuteńko na n, a więc Niebyt jest dla mnie fraszką. Zaraz was nie będzie ani niczego, więc proszę cię, Klapaucjuszu, abyś powiedział jeszcze prędko, że jestem prawdziwie uniwersalna i wykonuję rozkazy jak się należy, bo będzie za późno.

— Ależ to... — zaczął przestraszony Klapaucjusz i w tej chwili zauważył, że istotnie już nie tylko na n nikną różne rzeczy: przestały ich bowiem otaczać kambuzele, ściśnięta, wytrzopki, gryzmaki, rymundy, trzepce i pćmy.

— Stój! Stój! Cofam to, co powiedziałem! Przestań! Nie rób Niebytu!! — wrzeszczał na całe gardło Klapaucjusz, ale zanim maszyna się zatrzymała, znikły jeszcze graszaki, plukwy, fihdrony
i zamry. Wtedy dopiero maszyna znieruchomiała. Świat wyglądał wręcz przeraźliwie. Zwłaszcza ucierpiało niebo: widać było na nim ledwo pojedyncze punkciki gwiazd; ani śladu prześlicznych gryzmaków i gwajdolnic, które tak dotąd upiększały nieboskłon!

— Wielkie nieba! — zakrzyknął Klapaucjusz. — A gdzież są kambuzele? Gdzie moje murkwie ulubione? Gdzie pćmy łagodne?!

— Nie ma ich i nigdy już nie będzie — odparła spokojnie maszyna. — Wykonałam, a raczej zaczęłam wykonywać to tylko, coś mi kazał...

— Kazałem ci zrobić Nicość, a ty... ty...

— Klapaucjuszu, albo jesteś głupcem, albo głupca udajesz — rzekła maszyna. — Gdybym zrobiła Nicość naraz, za jednym zamachem, przestałoby istnieć wszystko, więc nie tylko Trurl
i niebo, i Kosmos, i ty, ale nawet ja. Więc kto właściwie i komu mógłby wtedy powiedzieć, że rozkaz został wykonany i że jestem sprawną maszyną? A gdyby nikt tego nikomu nie powiedział, w jaki sposób ja, której by także już nie było, mogłabym otrzymać należną mi satysfakcję?

— Niech ci będzie, nie mówmy już o tym — rzekł Klapaucjusz. — Już niczego od ciebie nie chcę, śliczna maszyno, tylko proszę, zrób murkwie, bo bez nich życie mi niemiłe...

— Nie umiem tego, ponieważ są na m — rzekła maszyna. — Owszem, mogę na powrót zrobić niesmak, nienasycenie, niewiedzę, nienawiść, niemoc, nietrwałość, niepokój i niewiarę, ale na inne litery proszę się po mnie niczego nie spodziewać.

— Ale ja chcę, żeby były murkwie! — ryknął Klapaucjusz.

— Murkwi nie będzie — rzekła maszyna. — Popatrz, proszę, na świat, jaki jest cały pełen olbrzymich czarnych dziur, pełen Nicości, która wypełnia bezdenne otchłanie między gwiazdami, jak wszystko dookoła stało się mą podszyte, jak czyha nad każdym skrawkiem istnienia. To twoje dzieło, mój zawistniku! Nie sądzę, żeby następne pokolenia miały cię za to błogosławić...

— Może się nie dowiedzą... Może nie zauważą... — wyjąkał pobladły Klapaucjusz, patrząc
z niewiarą w pustkę czarnego nieba i nie śmiał nawet w oczy spojrzeć swemu koledze. Pozostawiwszy go obok maszyny, która umiała wszystko na n, wrócił chyłkiem do domu — świat zaś po dziś dzień pozostał już cały podziurawiony Nicością — tak jak go w toku nakazanej likwidacji zatrzymał Klapaucjusz. A ponieważ nie udało się zbudować maszyny na żadną inną literę, trzeba się obawiać, że nie będzie już nigdy takich wspaniałych zjawisk jak pćmy i murkwie — po wieki wieków.

**WIELKIE LANIE**

Ktoś zapukał do domu konstruktora Klapaucjusza, który uchylił drzwi, wystawił głowę na zewnątrz i zobaczył brzuchatą maszynę na czterech krótkich nogach.

— Kim jesteś i czego chcesz? — spytał.

— Jestem Maszyną Do Spełniania Życzeń, a przysłał mnie do ciebie twój przyjaciel i wielki kolega, Trurl, jako podarek.

— Jako podarek? — rzekł Klapaucjusz, którego uczucia dla Trurla były dosyć mieszane,
a szczególnie nie spodobało mu się to, że maszyna nazwała Trurla jego “wielkim kolegą”. — No, dobrze — zadecydował po krótkim namyśle — możesz wejść.

Kazał jej stanąć w kącie obok pieca i, nie zwracając na nią pozornie uwagi, wrócił do przerwanej pracy. Budował baniastą maszynę na trzech nogach. Była już prawie gotowa i tylko ją polerował. Po jakimś czasie Maszyna Do Spełniania Życzeń odezwała się:

— Przypominam o swej obecności.

— Nie zapomniałem o niej — rzekł Klapaucjusz i dalej robił swoje. Po chwili maszyna odezwała się:

— Można wiedzieć, co robisz?

— Jesteś Maszyną Do Spełniania Życzeń czy Do Stawiania Pytań? — rzekł Klapaucjusz i dodał: — Potrzebuję niebieskiej farby.

— Nie wiem, czy będzie w odcieniu, jakiego potrzebujesz — odparła maszyna, wysuwając przez klapkę w brzuchu puszkę farby. Klapaucjusz otworzył ją, bez słowa zanurzył w niej pędzel i wziął się do malowania. Do wieczora zażądał jeszcze po kolei szmergla, karborundu, wiertła i białej farby oraz śrubek, a za każdym razem maszyna dawała mu natychmiast to, czego sobie życzył. Pod wieczór zakrył budowany przyrząd kawałkiem płachty, posilił się, usiadł naprzeciw maszyny na małym trójnogu i rzekł:

— Zobaczymy teraz, czy coś potrafisz. Powiadasz, że umiesz robić wszystko?

— Wszystko nie, ale wiele — odparła skromnie maszyna. — Czy zadowoliły cię farby, śrubki i wiertła?

— A, owszem, owszem! — odparł Klapaucjusz. — Ale zażądam teraz od ciebie rzeczy daleko trudniejszej. Jeśli jej nie zrobisz, odeślę cię do twego pana z odpowiednim podziękowaniem i opinią.

— A cóż to takiego? — spytała maszyna i przestąpiła z nogi na nogę.

— To Trurl — wyjaśnił Klapaucjusz. — Masz mi zrobić Trurla, takuteńkiego jak prawdziwy. Żeby jeden był nie do odróżnienia od drugiego!

Maszyna pomruczała, pobrzęczała, poszumiała i rzekła:

— Dobrze, zrobię ci Trurla, ale obchodź się z nim ostrożnie, bo to bardzo wielki konstruktor!

— Ach, rozumie się, możesz być spokojna — odparł Klapaucjusz. — No i gdzież ten Trurl?

— Co? Tak zaraz? Przecież to nie byle co — rzekła maszyna. — To musi chwilę potrwać. Trurle to nie śrubki ani lakiery!

Jednakże nad podziw szybko zatrąbiła, zadzwoniła, w brzuchu otwarły się jej spore drzwiczki
i z ciemnego wnętrza wyszedł Trurl. Klapaucjusz wstał, obszedł go, przyjrzał mu się z bliska, obmacał go dokładnie i ostukał, ale nie było żadnej wątpliwości — miał przed sobą Trurla jak dwie krople wody podobnego do oryginału. Trurl, który wyszedł z brzucha maszyny, mrużył oczy od światła, ale poza tym zachowywał się całkiem zwyczajnie.

— Jak się masz, Trurlu! — powiedział Klapaucjusz.

— Jak się masz, Klapaucjuszu! Ale skąd ja się tu właściwie wziąłem? — odparł, wyraźnie zdziwiony, Trurl.

— A, tak, ot, po prostu zaszedłeś... Dawno cię nie widziałem. Jak ci się u mnie podoba?

— Owszem, owszem... Co to masz tam pod tą płachtą?

— Nic takiego. Może siądziesz?

— E, kiedy zdaje mi się, że już późno. Ciemno na dworze, chyba pójdę do domu.

— Nie tak prędko, nie tak zaraz! — zaprotestował Klapaucjusz. — Chodź najpierw do piwnicy, zobaczysz, jakie to będzie interesujące...

— A cóż masz takiego w piwnicy?

— Jeszcze nie mam, ale będę zaraz miał. Chodź, chodź...

I, poklepując go, sprowadził Klapaucjusz Trurla do piwnicy, tam zaś podstawił mu nogę, a gdy ów upadł, związał go, a potem grubym drągiem zaczął go tłuc na kwaśne jabłko. Trurl wrzeszczał wniebogłosy, wzywał pomocy, na przemian klął i prosił zmiłowania, lecz nic to nie pomagało — noc była ciemna i pusta, a Klapaucjusz walił go dalej, aż huczało.

— Oj! Au! Dlaczego mnie tak bijesz?! — wołał Trurl, uchylając się przed razami.

— Bo mi to sprawia przyjemność — wyjaśnił Klapaucjusz i zamachnął się. — Tegoś jeszcze nie spróbował, mój Trurlu!

I uderzył go w głowę, aż zadzwoniła jak beczka.

— Puść mnie natychmiast, bo pójdę do króla i powiem, co ze mną robiłeś, a wtrąci cię do lochu!! — krzyczał Trurl.

— Nic mi nie zrobi. A wiesz, czemu? — spytał Klapaucjusz i usiadł na ławce.

— Nie wiem — rzekł Trurl, rad, że nastąpiła przerwa w biciu.

— Bo ty nie jesteś prawdziwym Trurlem. On jest u siebie, zbudował Maszynę Do Spełniania Życzeń i przysłał mi ją w darze, a ja, żeby ją wypróbować, kazałem jej sporządzić ciebie! Teraz odkręcę ci głowę, postawię pod moim łóżkiem i będę jej używał jako pachołka do ściągania butów!

— Jesteś potworem! Dlaczego chcesz to zrobić?!

— Powiedziałem ci już: bo mi to sprawia przyjemność. No, dość tego pustego gadania! — To mówiąc, Klapaucjusz ujął kij w obie ręce, a Trurl zaczął krzyczeć:

— Przestań! Przestań natychmiast! Powiem ci coś bardzo ważnego!!

— Ciekawym, co możesz mi takiego powiedzieć, co by mnie powstrzymało od używania twej głowy jako pachołka do butów — odparł Klapaucjusz, ale przestał go bić. Trurl zawołał wtedy:

— Wcale nie jestem Trurlem zrobionym przez maszynę! Jestem prawdziwym Trurlem, najprawdziwszym w świecie, i chciałem się tylko dowiedzieć, co robisz od tak dawna, zamknąwszy się w domu na cztery spusty! Zbudowałem więc maszynę, schowałem się w jej brzuchu i kazałem się zanieść do twego domu pod pozorem, że ona jest podarkiem ode mnie dla ciebie!

— Proszę, proszę, ależ historyjkę wymyśliłeś, i to tak na poczekaniu! — rzekł Klapaucjusz
i, wstając, ścisnął w ręku grubszy koniec kija. — Możesz się nie wysilać, widzę twoje kłamstwa na wylot. Jesteś Trurlem zrobionym przez maszynę, spełnia ona wszystkie życzenia, dzięki niej dostałem śrubki i białą farbę, jak również niebieską, wiertła i inne rzeczy. Jeżeli potrafiła zrobić tamto, potrafiła zrobić i ciebie, mój kochany!

— Miałem to wszystko przygotowane w jej brzuchu! — zawołał Trurl. — Nie było trudno przewidzieć, czego będziesz potrzebował podczas pracy! Przysięgam, że mówię prawdę!

— Gdyby to była prawda, oznaczałaby, że mój przyjaciel, wielki konstruktor Trurl, jest zwyczajnym oszustem, a w to nigdy nie uwierzę! — odparł Klapaucjusz. — Masz!

I zdzielił go od ucha w plecy.

— To za oszczerstwa rzucone na mego przyjaciela Trurla. — Masz jeszcze raz!

I dołożył mu z drugiej strony. Potem bił go jeszcze, grzmocił i tłukł, aż się zmęczył.

— Pójdę się teraz zdrzemnąć nieco i w ten sposób odpocznę — rzekł wyjaśniająco i odrzucił kij. — A ty poczekaj sobie, niebawem wrócę...

Kiedy odszedł, a po całym domu rozeszły się odgłosy jego pochrapywania, Trurl poty jął wić się w sznurach, aż rozluźnił je, potem porozsupływał węzły, pobiegł cicho na górę, wlazł do środka maszyny i ruszył w niej z kopyta do domu. Klapaucjusz zaś, śmiejąc się w kułak, patrzał przez górne okienko na jego ucieczkę. Nazajutrz udał się z wizytą do Trurla. Ten wpuścił go do izby, milcząc ponuro. W izbie panował półmrok, lecz bystry Klapaucjusz i tak spostrzegł, że korpus i głowa Trurla noszą ślady wielkiego lania, jakie mu spuścił, chociaż widać było, że Trurl porządnie się napracował, wyklepując i prostując wgłębienia uczynione razami.

— Cóżeś taki posępny? — zagadnął wesoło Klapaucjusz. — Przyszedłem podziękować ci za piękny podarek, szkoda tylko, że podczas mego snu umknął, zostawiając otwarte drzwi, jakby się paliło!

— Wydaje mi się, że uczyniłeś niewłaściwy użytek z mego podarunku, aby nie powiedzieć więcej! — wybuchnął Trurl. — Maszyna opowiedziała mi wszystko, nie musisz się fatygować — dodał ze złością, widząc, że Klapaucjusz otwiera usta. — Kazałeś jej zrobić mnie, mnie samego,
a potem podstępem sprowadziłeś duplikat mej osoby do piwnicy i tam najstraszliwiej go zbiłeś! I po takiej wyrządzonej mi zniewadze, po takiej podzięce za wspaniały dar, ośmielasz się jeszcze, jak gdyby nigdy nic, przychodzić do mnie? Co masz mi do powiedzenia?

— Zupełnie nie pojmuję twego gniewu — odparł Klapaucjusz. — Istotnie, kazałem maszynie zrobić twoją kopię. Powiadam ci, była doskonała, wprost zdumiałem się na jej widok. Co się tyczy bicia, maszyna musiała mocno przesadzić — istotnie, szturchnąłem parę razy tego zrobionego, bo chciałem wypróbować, czy jest solidnie wykonany, byłem też ciekaw, jak na to zareaguje. Okazał się nadzwyczajnie bystry. Z miejsca opowiedział mi wymyśloną historyjkę, jakobyś to był ty sam we własnej osobie; nie dałem mu wiary, a wtedy zaczął przysięgać, że wspaniały dar nie był darem, lecz zwykłym oszukaństwem; rozumiesz chyba, że w obronie twego honoru, honoru mojego przyjaciela, musiałem go za tak bezczelne kłamstwa złoić. Przekonałem się jednak, że wykazuje wybitną inteligencję, a więc nie tylko fizycznie, ale i duchowo przypominał ciebie, mój drogi. Jesteś, zaiste, wielkim konstruktorem, to tylko chciałem ci powiedzieć i w tym celu przyszedłem tak wcześnie!

— Ach! No, tak, zapewne — odparł już nieco udobruchany Trurl. — Co prawda użytek, jaki zrobiłeś z Maszyny Do Spełniania Życzeń, nie wydaje mi się w dalszym ciągu najszczęśliwszy, ale niech ci będzie...

— A, prawda, chciałem cię właśnie spytać, co właściwie zrobiłeś z tym sztucznym Trurlem? — spytał niewinnie Klapaucjusz. — Czy mógłbym go zobaczyć?

— Był wprost szalony z wściekłości! — odparł Trurl. — Groził, że strzaska ci czaszkę, zaczaiwszy się koło tej wielkiej skały przy twoim domu, a kiedy usiłowałem mu to wyperswadować, skakał mi do oczu, w nocy zaś jął pleść z drutów wnyki i sieci na ciebie, mój drogi, więc chociaż uważałem, że to mnie obraziłeś w jego osobie, powodowany pamięcią o naszej starej przyjaźni, aby usunąć ci z drogi grożące niebezpieczeństwo (bo on się aż zapamiętał), rozebrałem go, nie widząc innego wyjścia, na drobne części...

To mówiąc, Trurl jakby od niechcenia trącił nogą walające się po podłodze, rozwłóczone szczątki mechanizmów.

Po czym pożegnali się ciepło i rozstali jako serdeczni przyjaciele.

Od tej pory Trurl nie robił nic innego, tylko na lewo i na prawo opowiadał całą historię, jak to obdarował Klapaucjusza Maszyną Do Spełniania Życzeń, jak obdarowany postąpił niepięknie, każąc jej zrobić sobie Trurla, i spuścił mu lanie, jak wspaniale sporządzona przez maszynę kopia zręcznymi kłamstwami usiłowała wydobyć się z opresji i umknęła, ledwo zmęczony Klapaucjusz ułożył się do snu, a on sam, Trurl, rozebrał na kawałki zrobionego Trurla, który przybiegł do jego domostwa, uczynił zaś tak tylko po to, by uchronić swego przyjaciela od zemsty pobitego. I póty opowiadał
i chwalił się, i puszył, i przyzywał świadectwo Klapaucjusza, aż wieść o tej dziwnej przygodzie doszła na dwór królewski i nikt już tam nie wyrażał się o Trurlu inaczej, jak tylko z największym podziwem, choć do niedawna jeszcze powszechnie zwano go Konstruktorem Najgłupszych Maszyn Rozumnych na świecie. A kiedy Klapaucjusz posłyszał, że sam król obficie obdarował Trurla
i odznaczył go Orderem Wielkiej Sprężyny i Gwiazdą Helikonoidalną, zawołał wielkim głosem:

— Jak to? Więc za to, że udało mi się go przechytrzyć, kiedym go przejrzał, kiedy spuściłem mu setne baty, że musiał się potem klepać i łatać, jak niepyszny uciekłszy na pokrzywionych nogach nocą z mojej piwnicy, za to wszystko opływa teraz w dostatki, a jakby tego było mało, król odznacza go jeszcze orderem? O, świecie, świecie!...

I, okropnie rozgniewany, wrócił do domu, aby zamknąć się w nim na cztery spusty. Budował bowiem taką samą Maszynę Do Spełniania Życzeń jak i Trurl, tylko tamten wcześniej ją skończył.